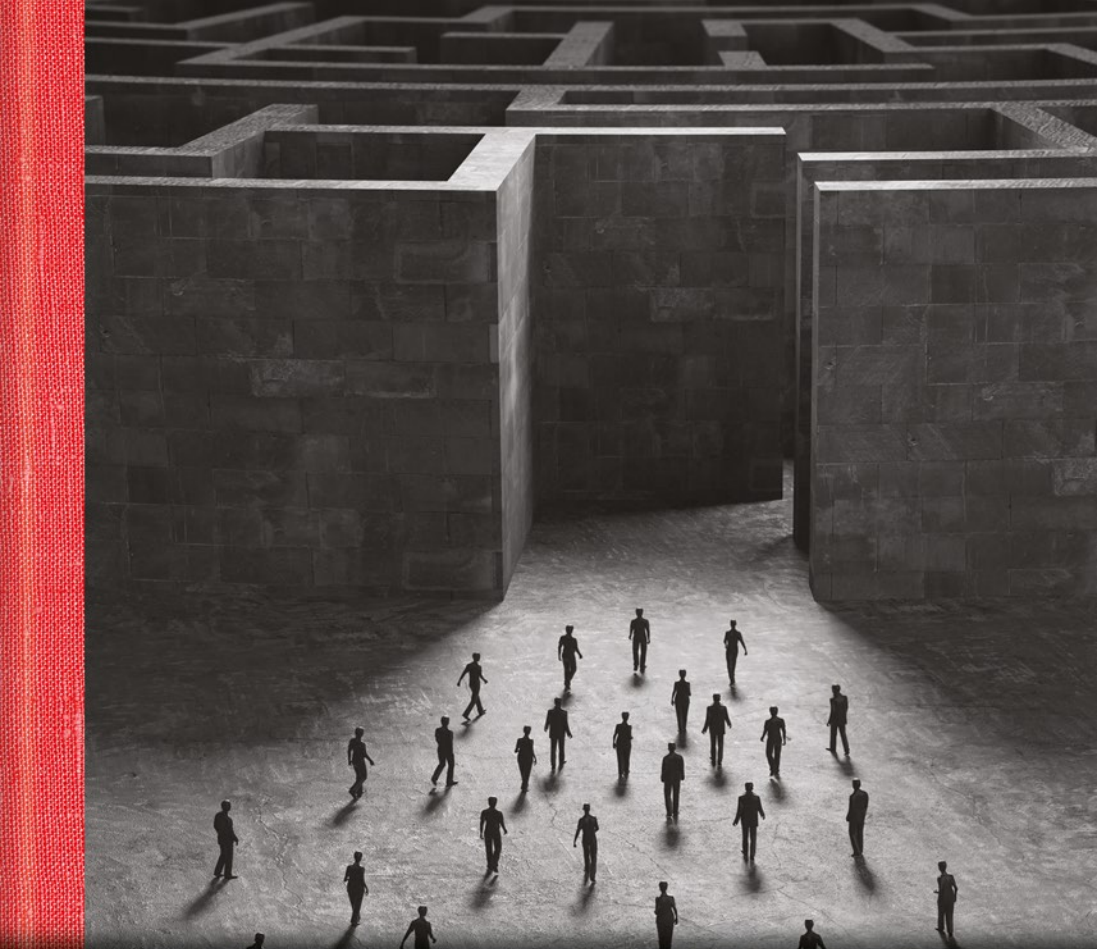




Book 1984

GEORGE ORWELL



Rok 1984

GEORGE ORWELL

1984

Przekład: Paweł Bulski



Tytuł oryginału: *Nineteen Eighty-Four*

Tłumaczenie: **Paweł Bulski**

Tłumacz pragnie gorąco podziękować Jerzemu Jarniewiczowi za wsparcie i cenne uwagi.

Redakcja: **Anna Willman**

Korekta: **Gabriela Niemiec**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Zdjęcia na okładce: główne (front) – Dreamstime.com © Mopic, pozostałe –
Dreamstime.com: © Tsvibrav, © Olga Lepeshkina, © Friziofriziofrizio, © Kittasgraphics

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2021
Warszawa 2021

© Copyright for the Polish translation by Paweł Bulski under exclusive license
to Wydawnictwo SBM



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN: 978-83-8222-481-8

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

I	9
II	27
III	36
IV	44
V	55
VI	70
VII	76
VIII	88

CZĘŚĆ DRUGA

I	113
II	125
III	135
IV	145
V	156
VI	166
VII	169
VIII	177
IX	189
X	231

CZĘŚĆ TRZECIA

I	241
II	256
III	277
IV	291
V	300
VI	305

ANEKS

REGUŁY NOWOMOWY	319
-----------------------	-----

**CZĘŚĆ
PIERWSZA**

I

Pomimo świecącego jasno słońca, kwietniowy dzień przejmował chłodem. Zegary wybijały trzynastą. Winston Smith, kuląc się w daremnej próbie uniknięcia przenikliwego, lodowatego wiatru, przemknął w pośpiechu przez szklane drzwi Bloku Zwycięstwa. Nie zrobił tego wystarczająco szybko, bo w ślad za nim wdarł się tuman niesionego podmuchem piachu.

Korytarz cuchnął gotowaną kapustą i zbutwiałymi szmacianymi wycieraczkami. Na jego końcu wisiał przyczepiony pinezkami kolorowy plakat, o wiele za duży, by oglądać go we wnętrzu. Przedstawiał ogromną twarz o szerokości ponad metra, należącą do mężczyzny mniej więcej czterdziestopięcioletniego, z czarnymi, sumiastymi wąsami o regularnych, twardych rysach. Winston ruszył od razu w stronę schodów. Winda nawet w najlepszych okresach rzadko działała, a ostatnio w ogóle nie było sensu na nią czekać, bo w ramach kampanii oszczędzania przed Tygodniem Nienawiści na cały dzień odcinano prąd. Winston mieszkał na siódmym piętrze, a ponieważ miał już trzydzieści dziewięć lat i owrzodzony żylak nad prawą kostką, pokonywał schody powoli, odpoczywając parę razy po drodze. Na każdym półpiętrze z plakatu naprzeciwko szybu windy spoglądała na niego

ogromna twarz, namalowana w taki sposób, że miało się wrażenie, jakby oczy z portretu śledziły każdy ruch. Na dole plakatu widniał napis WIELKI BRAT PATRZY.

W mieszkaniu rozbrzmiewał głęboki głos odczytujący kolumny liczb z listy wskaźników efektywności produkcji surowki żelaza. Dobiegał z płaskiego metalowego prostokąta przypominającego zmętniałe lustro, zajmującego część ściany po prawej stronie. Winston przyciszył nieco, ale słowa płynące z ekranu wciąż były wyraźne. Urządzenie, zwane teleekranem, można było ściszać i ściemniać, nie dało się go jednak wyłączyć. Mężczyzna podszedł do okna. Na tle szarego prostokąta zarysowała się wyraźnie jego drobna postać, której kruchość podkreślał granatowy kombinezon — standardowy uniform członków Partii. Winston był jasnym blondynem o naturalnie rumianej twarzy, której skóra, podrażniona szorstkim mydłem i tępymi żyłkami, nie doszła jeszcze do siebie po zimowych mrozach.

Świat na zewnątrz, nawet za szczelną szybą, sprawiał wrażenie sparaliżowanego chłodem. W dole na ulicy poddmuchy wiatru tworzyły wiry z piachu i skrawków papieru; pomimo słońca i surowego błękitu nieba krajobraz wydawał się pozbawiony barw. Jedynymi kolorowymi akcentami były wszechobecne plakaty z wąsatą twarzą spoglądającą w dół z każdego rogu. Z wielkiej płachty na domu naprzeciwko, opatrzonej podpisem WIELKI BRAT PATRZY, ciemnooki mężczyzna świdrował Winstona wzrokiem. Niżej, na poziomie ulicy, łopotał na wietrze naderwany róg innego plakatu, raz po raz zasłaniając i odkrywając jedno słowo: ANGSO. Nad dachami na horyzoncie unosił się samotny helikopter. Na moment zawisł nieruchomo niczym ważka, by oddalić się raptownie w ostrym skrócie. Był to patrol policji, zaglądający do okien mieszkań. Patrole zwykłej policji nie były groźne. Bać należało się Policji Myśli.

Głos z teleekranu nadal belkotał o surówce i Dziewiątym Planie Trzyletnim. Urządzenie działało zarazem jako odbiornik i nadajnik, wychwytyjąc każdy dźwięk głośniejszy od szeptu; kiedy Winston znajdował się w jego zasięgu, można go było również oglądać. Nikt nigdy nie wiedział, czy jest akurat obserwowany. Można było jedynie się domyślać, jak często Policja Myśli wpina się w instalację, pewne było jedno: mogła to zrobić w każdej chwili. Niewykluczone, że obserwacji podlegali bezustannie wszyscy bez wyjątku. Ale trzeba było żyć — i żyło się z przyzwyczajenia, które przekształciło się w instynkt — ze świadomością, że podsłuchiwany jest każdy wydawany w domu dźwięk, a poza momentami całkowitego zaciemnienia obserwowany jest każdy ruch.

Winston wciąż stał tyłem do ekranu. Tak było bezpieczniej, chociaż — o czym wiedział doskonale — plecy też mogły wiele zdradzić. Oddalony o zaledwie kilometr monumentalny biały gmach Ministerstwa Prawdy, gdzie pracował, górował nad tonącą w brudzie okolicą. Tak wygląda Londyn... — pomyślał z odrazą — główne miasto Pierwszego Lądowiska, trzeciej pod względem liczby ludności prowincji Oceanii. Spróbował wydobyć z zakamarków pamięci jakieś wspomnienie z dzieciństwa, przypomnieć sobie, czy dawniej miasto było równie ponure. Czy zawsze były tu rozsypujące się kamienice o bocznych murach podtrzymywanych stemplami, oknach zabitych dyktą i dachach połatanych blachą falistą? Rozchwierutane, chylące się w najróżniejsze strony płoty przydomowych ogródków? A porośnięte wierzbówką ruiny po bombardowaniu, wśród których kłębiły się tumany betonowego pyłu? Albo zrównane z ziemią podczas nalotów tereny, na których wyrosły obskurne skupiska drewnianych szop przypominających kurniki? Wszystko na nic — nie potrafił sobie przypomnieć. Poza nielicznymi jasnymi, zawieszonymi w próżni, nieruchomymi obrazami, z dzieciństwa nie pozostały mu żadne wspomnienia. Zresztą nawet i te pojedyncze obrazy były niewyraźne.

Nad wszystkim dominował monumentalny Gmach Ministerstwa Prawdy (w nowomowie Minipra), uderzająco inny od okolicznych zabudowań. Była to gigantyczna, połyskująca białym betonem piramida, wznosząca się tarasowo ku niebu na wysokość trzystu metrów. Ze swego okna Winston mógł odczytać eleganckie litery wykute na białej fasadzie, układające się w trzy slogany Partii:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
NIEWIEDZA TO SIŁA

Mówiono, że budowla mieści trzy tysiące pomieszczeń w części nadziemnej i tyle samo pod ziemią. W całym Londynie wznosiły się jeszcze trzy budynki o podobnym wyglądzie i gabarytach — z dachu Bloku Zwycięstwa widać było doskonale całą czwórkę. Mieściły cztery instytucje, pomiędzy które podzielono władzę: Ministerstwo Prawdy, zajmujące się informacją, rozrywką, edukacją i sztukami pięknymi; Ministerstwo Pokoju, prowadzące sprawy związane z wojną; Ministerstwo Miłości, stojące na straży ładu i porządku; oraz Ministerstwo Obfitości, odpowiadające za gospodarkę. W nowomowie nosiły nazwy: Minipra, Minipax, Minimil i Miniobfi.

Najbardziej przerażający był pozbawiony okien gmach Ministerstwa Miłości. Winston nigdy tam nie był, nie znalazł się nawet w promieniu pięciuset metrów od niego. Do środka można było się dostać jedynie w oficjalnej sprawie, ale nawet wtedy trzeba było najpierw pokonać labirynt zapór z drutu kolczastego, stalowych bram i ukrytych gniazd karabinów maszynowych. Ulice prowadzące na teren Ministerstwa patrolowali odziani w czarne mundury strażnicy o gorylich twarzach, uzbrojeni w teleskopowe pałki.

Winston odwrócił się gwałtownie. Nadał twarzy wyraz spokojnego zadowolenia, wskazany, kiedy miało się przed sobą teleekran. Przemaszerował przez pokój, kierując kroki do miniaturowej kuchni. Wychodząc

z Ministerstwa o tej porze, świadomie pozbawił się lunchu w stołówce, choć w kuchni miał tylko kawałek ciemnego chleba przeznaczony na jutrzejsze śniadanie. Zdjął z półki butelkę bezbarwnej cieczy oznaczoną prostą, białą etykietą z napisem GIN ZWYCIĘSTWO. Unoszący się z niej oleisty, przyprawiający o mdłości zapach przywodził na myśl chińska wódkę ryżową. Winston napełnił filiżankę i walcząc ze wstrętem, wypił wszystko jednym haustem jak lekarstwo. Twarz mu poczerwieniała, a w oczach stanęły łzy. Gin smakował jak kwas azotowy, a przechodząc przez przełyk, powodował doznanie porównywalne z ciosem gumową pałką w tył głowy. Po chwili, gdy minęło palenie w żołądku, świat wydał się Winstonowi pogodniejszy. Z wymiętej paczki z napisem PAPIEROSY ZWYCIĘSTWO wyjął jednego papierosa, ale przez nieuwagę ujął go w palce pionowo, wysypując cały tytoń na podłogę. Z kolejnym poszło mu już lepiej. Wrócił do pokoju i usiadł przy niewielkim stole na lewo od teleekranu. Wyjął z szuflady obsadkę, kałamarz i gruby niezapisany notatnik z czerwonym grzbietem i okładką z marmurkowanej tektury.

Z jakiegoś powodu teleekran w jego pokoju zainstalowano w nietypowym miejscu — zgodnie z normą powinien wisieć na ścianie szczytowej, skąd mógłby kontrolować całe pomieszczenie, tymczasem zamocowano go na dłuższej ścianie naprzeciw okna. Po jednej jego stronie znajdowała się niewielka nisza, przeznaczona zapewne na regał z książkami. Tam właśnie zasiadł Winston. Wciśnięty głęboko we wnękę, mógł zniknąć z pola widzenia teleekranu. Dopóki nie zmieniał pozycji, był niewidoczny, choć naturalnie było go słyszeć. Właśnie to nietypowe ustawienie pokoju podsunęło mu pewien pomysł. Zainspirował go również notatnik, który wyciągnął przed chwilą z szuflady. Był to wyjątkowo piękny egzemplarz z kartkami z gładkiego, nieco już pożółkłego kremowego papieru. Nie produkowano takich od co najmniej czterdziestu lat, Winston domyślał się jednak, że notatnik został zrobiony wcześniej. Zauważył go na wystawie zapuszczonego sklepiku ze starzyzną w zamieszkaną przez biedotę części miasta (nie pamiętał już, gdzie dokładnie) i poczuł,

że musi go mieć. Członkom Partii nie wolno było kupować w zwykłych sklepach (działających na wolnym rynku, jak to określano), ale mało kto przestrzegał rygorystycznie tego zakazu, bo w takich właśnie miejscach można było zdobyć niedostępne gdzie indziej produkty, jak sznurówki czy żyłетки. Rozejrzał się szybko wokół, po czym wślizgnął się do środka i kupił notatnik za dwa dolary i pięćdziesiąt centów, choć nie miał pojęcia, do czego mógłby mu się przydać. Do domu zaniósł go w teczce na dokumenty, walcząc z poczuciem winy — nawet w takiej formie, bez jednego zapisanego słowa, był obciążającym nabytkiem.

Postanowił prowadzić pamiętnik. Nie było to niezgodne z prawem (odkąd przestały obowiązywać wszystkie prawa, nic nie było już nielegalne), gdyby jednak się wydało, prawdopodobnie nie ominęłaby go kara śmierci lub co najmniej dwadzieścia pięć lat w obozie pracy. Winston osadził stalówkę w obsadce i poślinił ją. Pióra wprawdzie już dawno wyszły z użytku, nawet do podpisywania dokumentów używano ich wyjątkowo rzadko, jednak Winstonowi udało się, nie bez trudności, zdobyć jedno potajemnie. Uznał, że piękny kremowy papier zasługuje na kontakt z prawdziwą stalówką, a nie zwykłym, drapiącym go kopiowym ołówkiem. Musiał przyznać, że odwykł od pisania. W pracy poza odręcznymi notatkami cały materiał wprowadzało się do mowopisu, czyli dyktafonu połączonego z drukarką, co w tej sytuacji oczywiście nie wchodziło w grę. Zanurzył pióro w kałamarzu i zawahał się przez chwilę. Poczul lodowaty skurcz w żołądku. Przełamał się jednak i postawił na papierze pierwszy znak. A więc stało się! Małymi, niezdarnymi literami zanotował:

4 kwietnia, rok 1984

Odchylił się do tyłu, napierając plecami na oparcie. Poczul się przerażająco bezradny. Nie miał nawet pewności, że to istotnie rok 1984. W dużym przybliżeniu data chyba jakoś się zgadzała, bo był prawie pewien, że ma trzydzieści dziewięć lat; wydawało mu się, że urodził

się w 1944 lub 1945 roku, ale obecnie nie sposób było określić daty z dokładnością do kilku lat.

Nagle ogarnęły go wątpliwości. Dla kogo właściwie miałby pisać ten pamiętnik? Dla przyszłych pokoleń. Przez chwilę jego myśli krążyły wokół niepewnej daty w nagłówku, po czym zatrzymały się gwałtownie na pochodzącym z nowomowy terminie „dwójmyślenie”. Dopiero teraz dotarło do niego, na co się porwał. Jak można się komunikować z przyszłością? Przecież z samej natury jest to niemożliwe. Jeśli przyszłość będzie przypominać teraźniejszość, co nowego miałby mieć do powiedzenia? A jeśli będzie się od niej różnić, co sprawi, że jego pisanina zainteresuje kogokolwiek?

Przez jakiś czas wpatrywał się tępo w papier. Teleekran serwował teraz bojowe dźwięki wojskowej muzyki. Zastanawiał się, jak to możliwe, że nagle utracił zdolność formułowania myśli, co gorsza, miał wrażenie, że nie pamięta, o czym chciał napisać. Od tygodni przygotowywał się do tej chwili i nigdy nie przeszło mu przez myśl, że poza odwagą będzie potrzebował czegoś jeszcze. Sądził, że samo pisanie nie będzie trudne — wystarczy, że przeleje na papier niekończący się niespokojny monolog rozbrzmiewający od lat w jego głowie. Rzeka słów płynących do tej pory bez przerwy nagle wyschła. Do tego jeszcze akurat teraz poczuł potworne swędzenie wokół owrzodzenia nad kostką. Nie mógł się podrapać, bo kiedy to robił, zawsze wdawało się zakażenie. Mijały sekundy. Świadomość Winstona wypełniały puste strony notesu, swędzenie skóry, głośna muzyka i lekkie oszołomienie wywołane ginem.

Nagle w przypiływie paniki zaczął pisać, nie do końca świadom słów, które przelewał na papier. Z nierównych linijek drobnego dziecięcego piśma zaczęły znikać duże litery, a potem przecinki i kropki na końcu zdań.

4 kwietnia, rok 1984. Kino wczoraj wieczorem. Same wojenne filmy. Jeden bardzo dobry o statku pełnym uchodźców zbombardowanym gdzieś na Morzu Śródziemnym. Publiczność ubawiona

po pachy scenami z monstrualnie wielkim grubasem próbującym odplłynąć od tonącego statku i lecącym w ślad za nim helikopte-rem. z początku widzimy go, jak kołysze się pośród fal niczym żółw, potem przez celownik broni na pokładzie helikoptera, wreszcie po- dziurawionego kulami, morze wokół niego barwi się na różowo nagle tonie błyskawicznie jakby przez dziury w jego ciele nalało się do środka wody. okrzyki i śmiechy na widowni. potem poka- zali szalupę pełną dzieci i unoszący się nad nią helikopter. siedzą- ca na dziobie kobieta w średnim wieku chyba żydówka trzymała małego może trzyletniego chłopca w ramionach. chłopiec krzyczał przerażony i chował głowę pomiędzy jej piersi jak gdyby próbował wykopać tam sobie bezpieczne schronienie a kobieta otuliła go ra- mionami w geście pocieszenia mimo że sama była sina ze strachu. cały czas zakrywała go własnym ciałem jak tylko mogła zupełnie jakby wierzyła że jej ramiona uchronią go przed kulami. potem helikopter zrzucił na nich dwudziestokilogramową bombę potężny rozbłysk łódź rozpada się w drzazgi. następnie świetne ujęcie dzie- cięcej rączki wyrzuconej wybuchem w powietrze leciała do góry coraz wyżej i wyżej pewnie sfilmowane kamerą osadzoną w nosie śmigłowca który za nią leciał z miejsc dla członków Partii rozległ się donośny aplauz nagle kobieta z części sali przeznaczonej dla proli wzniosła raban krzycząc że nie powinni tego pokazywać nie przy dzieciach tak nie uchodzi nie przy dzieciach przecież nie aż za- brała ją policja nie sądzę by coś jej zrobili nikogo nie obchodzi co mówią prole typowa dla nich reakcja oni nigdy...

Winston przerwał pisanie również dlatego, że złapał go skurcz. Sam nie wiedział, czemu wylewa z siebie ten potok bzdur. Co ciekawe, kie- dy to robił, w jego umyśle pojawiło się zupełnie inne wspomnienie, tak silne, że musiał je zapisać. Dotarło do niego, że to właśnie z powo- du tego wspomnienia wrócił do domu i zacząć prowadzić pamiętnik.

Do wydarzenia, o ile coś tak nieuchwytnego można nazwać wydarzeniem, doszło przed południem w Ministerstwie. Zbliżała się jedenasta i pracownicy Departamentu Archiwaliów, w którym był zatrudniony, wyciągali krzesła z biurowych boksów, by przed seansem Dwóch Minut Nienawiści ustawić je w holu, naprzeciw ogromnego teleekranu. Winston zajmował właśnie miejsce w jednym ze środkowych rzędów, gdy do pomieszczenia weszły dwie znane mu z widzenia osoby. Jedną z nich była dziewczyna, którą często mijał na korytarzu. Nie znał jej imienia, wiedział jednak, że pracuje w Departamencie Literatury. Widywał ją czasem z kluczem maszynowym w dłoni ubrudzonej smarem, toteż domyślał się, że jest mechanikiem doglądającym maszyn piszących powieści. Była pewną siebie wysportowaną brunetką o gęstych włosach, piegowatej twarzy i szybkich, zwinnych ruchach. Mogła mieć co najwyżej dwadzieścia siedem lat. Jej talię opasywała kilkukrotnie wąska szkarłatna szarfa Młodzieżówki Antyseksualnej, zawiązana na tyle ciasno, by uwypuklić zgrabny kształt bioder. Winston nie znosił dziewczyny od pierwszego wejrzenia i doskonale wiedział dlaczego. Biła od niej atmosfera hokejowych boisk, zimnych pryszniców, szkolnych i pracowniczych rajdów oraz dbałości o czystość myśli. Nie przepadał za kobietami, szczególnie za tymi młodymi i ładnymi. To one, zwłaszcza te młodsze, najzarliwiej wspierały działania Partii, chłonąc jej slogany, szpiegując i węsząc w poszukiwaniu przejawów nieprawomyślnego zachowania. Dziewczyna, na którą patrzył, sprawiała wrażenie wyjątkowo niebezpiecznej. Kiedyś w korytarzu obrzuciła go szybkim, ukradkowym spojrzeniem — Winston miał wrażenie, że przewierca go nim na wylot, i ogarnęła go panika. Przemknęło mu nawet przez myśl, że dziewczyna jest agentką Policji Myśli, lecz po zastanowieniu uznał, że to mało prawdopodobne. Mimo to, kiedy była w pobliżu, odczuwał nieprzyjemny niepokój pomieszany z wrogością.

Wraz z dziewczyną w holu pojawił się O'Brien, funkcjonariusz Partii Wewnętrznej, piastujący w niej stanowisko tak ważne i wysokie, że Winston mógł się tylko domyślać jego natury. Na widok czarnego kombinezonu członka Partii Wewnętrznej w grupie skupionej wokół krzesełek zapadła głucha cisza. O'Brien był postawnym, tęgim mężczyzną o masywnym karku i grubo ciosanym obliczu, na którym surowość sąsiadowała z wyrazem ironicznego rozbawienia. Pomimo groźnego wyglądu nie można mu było odmówić pewnego uroku. Kiedy rozbajającym gestem poprawiał okulary, a robił to często, sprawiał wrażenie kogoś z innej epoki. Komuś, kto wciąż posługiwałby się takimi skojarzeniami, mógłby przypominać osiemnastowiecznego dżentelmena częstującego uprzejmie tabaką. Winston widział O'Briena może z dziesięć razy w ciągu kilkunastu lat. Coś go ciągnęło w jego stronę i nie chodziło tylko o intrygujący kontrast między jego wytwornym zachowaniem a posturą boksera. W głębi duszy Winston żywił przekonanie, czy raczej nadzieję, że dogmatyzm O'Briena nie jest aż tak niewzruszony, jak się wydaje. Coś w jego twarzy wyraźnie to sugerowało, choć być może to, co się na niej malowało, było przejawem nie tyle braku wiary w doktrynę, ile po prostu inteligencji. Tak czy inaczej, wyglądał na kogoś, z kim byłoby o czym porozmawiać, o ile jakimś cudem znaleźliby się sam na sam i udałoby się im oszukać teleekran. Winston nie zrobił nic, by sprawdzić swoje przypuszczenia, zresztą nie miał na to szans. Nagle O'Brien spojrzał na zegarek, a ponieważ dochodziła jedenasta, postanowił zostać w Departamencie Archiwaliów na Dwie Minuty Nienawiści. Zajął miejsce w tym samym rządzie co Winston, zaledwie dwa krzesła dalej. Rozdzielała ich teraz jedynie siedząca między nimi drobna, niska blondynka, pracująca w boksie obok Winstona. Ciemnowłosa dziewczyna siedziała tuż za nimi.

Po chwili ogromny teleekran zaryczał na cały regulator. Wstrętny, zgrzytliwy pisk, przywodzący na myśl jakąś potworną, nienaoliwioną maszynę, wyprowadzał ludzi z równowagi i sprawiał, że włosy na karku stawały dęba. Rozpoczął się seans nienawiści.

Jak zwykle na ekranie pojawiła się twarz Emmanuela Goldsteina, Wroga Ludu. Pośród publiczności rozległ się syk szyderstwa i dezaprobaty. Jasnowłosa sąsiadka Winstona pisnęła z przerażenia i odrazy. Goldstein był renegatem i przeniewiercą, który w przeszłości (nikt nie pamiętał, jak odległej) należał do ścisłego kierownictwa Partii, niemalże dorównując pozycją samemu Wielkiemu Bratu. Później jednak zaangażował się w kontrrewolucyjne działania, za co został skazany na śmierć, jednak w tajemniczy sposób zbiegł i ślad po nim zaginął. Program Dwóch Minut Nienawiści zmieniał się z dnia na dzień, ale Goldstein był jego stałym i najważniejszym punktem. Był naczelnym zdrajcą, który jako pierwszy skalał czystość Partii. Wszystkie kolejne zbrodnie wobec niej — akty zdrady i sabotażu, herezje i odchylenia — były bezpośrednią konsekwencją jego nauk. Goldstein wciąż żył gdzieś w ukryciu, knując i konspirując — być może za granicą, pod ochroną zamorskich mocodawców, a może, jak sądzili niektórzy, w jakiejś kryjówce w kraju.

Winston poczuł ucisk przepony. Za każdym razem, gdy patrzył na Goldsteina, targały nim sprzeczne emocje. Mężczyzna na ekranie miał szczupłą twarz o semickich rysach, okoloną rozczochną aureolą białych włosów i ozdobioną niewielką kocią bródką. Była to twarz inteligentna i odpychająca jednocześnie, a długi, cienki nos, na którego końcu tkwiły okulary, nadawał jej wyraz stetryczalego zdziecinienia. Goldstein przypominał fizjonomią owcę, a wrażenie to potęgował jego beczący głos. Naczelnny zdrajca wygłaszał właśnie kolejną zjadliwą filipikę wymierzoną w Partię w sposób tak absurdalnie przesadzony, że przewrotna natura tych zarzutów musiała być oczywista nawet dla dziecka. A jednak brzmiały na tyle sensownie, że ktoś mniej wyrobiony mógłby dać im wiarę — i to właśnie przerażało słuchaczy. Obrażał Wielkiego Brata, podważał jednowładztwo Partii, żądał zawarcia natychmiastowego pokoju z Eurazją, orędownął za wolnością słowa, prasy i zgromadzeń, opowiadał się za swobodą myśli, krzyczał

historycznie, że rewolucja została zdradzona — posługiwał się przy tym wyrzucanymi z prędkością karabinu maszynowego wielosylabowymi słowami, parodiując styl partyjnych mówców. Operował także słownictwem nowomowy, sięgając do jej zasobów częściej niż jakikolwiek członek Partii. Aby nikt nie miał wątpliwości, że wszystko, co mówi, to oburzające brednie, za jego głową wyświetlano maszerujące kolumny armii Eurazji — przepływające przez ekran od góry do dołu rzędy beznamiętnych azjatyckich twarzy o identycznych rysach, należących do silnie zbudowanych mężczyzn. Głuchy, rytmiczny stuk żołnierskich butów tworzył akompaniament dla beczącego głosu Goldsteina.

Nie minęło nawet pół minuty seansu nienawiści, gdy połowa zgromadzonych w holu osób, ogarnięta emocjami, nad którymi nie potrafiła już zapanować, zaczęła wznosić wściekle okrzyki.

Widok owczej twarzy w połączeniu z porażającą potęgą armii Eurazji był nie do zniesienia, automatycznie wywoływał strach i gniew. Nienawiść, jaką wzbudzał Goldstein, była zakorzeniona znacznie głębiej niż ta żywiona wobec Eurazji czy Wschódazji; kiedy Oceania znajdowała się w stanie wojny z jedną z tych potęg, z drugą zazwyczaj zachowywała pokój. Dziwne było jedynie to, że choć Goldstein był obiektem powszechnej nienawiści i pogardy, a jego teorie każdego dnia po tysiącokroć obalano, miażdżono i ośmieszano, obnażając ich żalosną absurdalność na ekranach, w gazetach i książkach, jego wpływ zdawał się nie maleć. Zawsze znalazło się kilku naiwnych, gotowych wpaść w jego sidła. Każdego dnia Policja Myśli demaskowała kolejnych szpiegów i sabotażystów działających pod jego rozkazami. Przewodził nieprzebraną tajną armią, podziemną siatką spiskowców dążących ze wszystkich sił do obalenia ustroju. Mówiono, że organizacja ta nazywa się Braterstwo. Szeptano też o jakiejś krążącej w podziemnym obiegu potwornej księdze autorstwa Goldsteina, kompendium wszystkich tych herezji. Nie miała tytułu, więc — o ile w ogóle

o niej wspomiano — nazywano ją prostu Księżą. O wszystkim tym można było się dowiedzieć jedynie z mało precyzyjnych plotek. Każdy szanujący się członek Partii starał się — jeśli tylko było to możliwe — nie wspominać słowem ani o Braterstwie, ani o Księżdzie.

W drugiej minucie nienawiść sięgnęła zenitu. Ludzie zrywali się z miejsc i krzyczeli, ile sił w płucach, próbując zagłuszyć doprowadzający do szału beczący głos z ekranu. Skóra drobnej blondynki spurpurowiała, a jej usta otwierały się i zamykały jak u wyrzuconej na brzeg ryby. Nawet grubo ciosana twarz O'Briena przybrała pąsowy odcień. Siedział prosto jak trzcina, nadymając płuca w potężnej klatce piersiowej, która drżała z wysiłku, jakby walczył z naporem ogromnej fali. Ciemnowłosa dziewczyna za Winstonem zaczęła wrzeszczeć. „Ty świni!” — wykrzykiwała raz po raz. Niepodziwianie uniosła ciężki *Słownik nowomowy* i cisnęła nim w ekran. Pocisk trafił w nos Goldsteina i odbił się od ekranu, z którego w dalszym ciągu dobiegał jego głos. Winston na ułamek sekundy odzyskał jasność umysłu i zdał sobie sprawę, że wraz z innymi wrzeszczy wniebogłosy, waląc piętą w poprzeczkę krzesła. W Dwóch Minutach Nienawiści nie to było najgorsze, że należało odegrać w nich swoją rolę, lecz fakt, że nie sposób było nie dać się w nią wciągnąć. Wystarczało pół minuty i człowiek nie musiał już udawać. Wszystkich ogarniała potworna ekstaza strachu i mściwości, żądza mordowania, torturowania, miażdżenia twarzy trzymanym oburącz młotem. Nawet najbardziej oporny uczestnik seansu wbrew swej woli zamieniał się we wrzeszczącego furiata. Wyzwolona wściekłość była jednak emocją abstrakcyjną, nieskierowaną pod konkretny adres, toteż można było nią sterować, przenosząc ją z jednego celu na drugi niczym płomień palnika. W pewnym momencie to już nie Goldstein, lecz Wielki Brat, Partia i Policja Myśli stawały się obiektem nienawiści Winstona. Przez kilka sekund całym sercem był za samotnym, wyszydzanym szaleńcem na ekranie, jedynym strażnikiem prawdy i normalności w świecie opanowanym przez kłamstwo. W następnej

chwili jego uczucia stapiały się w jedno z emocjami otaczających go ludzi i wszystko, co mówili o Goldsteinie, stawało się prawdą. Żywiona w głębi duszy odraza do Wielkiego Brata zmieniała się w uwielbienie, a jego postać rosła do nadludzkich rozmiarów — znów był niezłomnym obrońcą, twardym jak skała, o którą rozbijały się azjatyckie hordy. Goldstein zaś, pomimo oddalenia, bezradności i wątpliwości otaczających sam fakt jego istnienia, jawił się niczym zły czarnoksiężnik, zdolny roznieść w pył całą cywilizację potęgą swego głosu.

Winston potrafił kierować swą nienawiść na dowolny cel. W nagłym zrywie, jak ktoś, kto wysiłkiem woli wyrywa się z sennego koszmaru, przeniósł ją z twarzy na ekranie na siedzącą za nim ciemnowłosą dziewczynę. Jego umysł zalały cudowne wizje: zatłucze ją na śmierć gumową pałką. Przywiąże nagą do pala i naszpikuje strzałami niczym Świętego Sebastiana. Zgwałci i zamorduje, podcinając jej gardło w chwili największej rozkoszy. Co więcej, wreszcie dotarło do niego, dlaczego tak bardzo jej nienawidzi: bo była młoda, śliczna i aseksualna; bo chciał ją posiąść, wiedział jednak, że nigdy do tego nie dojdzie; bo jej piękną, gibką, stworzoną do obejmowania kibić specieło szkarłatne znamię szarfy, brutalny symbol czystości.

Seans nienawiści osiągnął apogeum. Głos Goldsteina ustąpił miejsca beczeniu, a zamiast jego twarzy na moment pojawił się łeb owcy. Po chwili głowa zwierzęcia przekształciła się w gigantyczną, przerażającą postać żołnierza Eurazji, zbliżającego się z rzygającym kulami karabinem maszynowym w garści. Na widok żołdaka zdającego się wyskakiwać z ekranu widzowie w pierwszych rzędach przyłgnęli instynktownie do oparcie krzeseł. W tej samej chwili wroga postać uległa transformacji i widownia z głębokim westchnieniem ulgi powitała ogromną, wypełniającą cały ekran twarz czarnowłosego, wąsatego Wielkiego Brata, emanującą siłą i spokojem. Nikt nie słyszał, co mówi. Było to zaledwie kilka słów tchnących otuchą, rzuconych w ogniu walki dla podniesienia morale, trudnych do wyodrębnienia,

lecz przywracających wiarę samym faktem, że są wypowiedane. Po chwili twarz Wielkiego Brata zniknęła, ustępując miejsca trzem hasłom Partii, wypełniającym ekran wielkimi literami:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
NIEWIEDZA TO SIŁA

Mimo to jeszcze przez kilka sekund wydawało się, że z ekranu wciąż patrzy Wielki Brat, jakby jego obraz tkwił pod powiekami widzów. Drobną blondynka rzuciła się do przodu, zwieszając się przez oparcie stojącego przed nią krzesła. Wyciągając ramiona w stronę ekranu, wymamrotała drżącym głosem: Zbawco! — po czym ukryła twarz w dłoniach. Było oczywiste, że się modli. Wyglądała jak ktoś pogrążony w religijnej ekstazie.

W tej samej chwili rozległo się powolne skandowanie. „Wu-Be! Wu-Be!” (z długą pauzą pomiędzy sylabami) — powtarzali głębokimi głosami zgromadzeni. Po sali niósł się potężny pomruk, tak dziki, wręcz pierwotny, że niemal słyszało się w nim uderzenia bosych stóp o ziemię i pulsowania tam-tamów. Wszystko to trwało może trzydzieści sekund. Skandowanie pojawiała się zawsze, kiedy emocje brały górę nad wszystkim innym. Był to rodzaj hymnu na cześć mądrości i majestatu Wielkiego Brata, ale też coś w rodzaju autohipnotyzującej mantry sprzyjającej wyłączeniu świadomości. Winston poczuł w środku lodowaty skurcz. Jako uczestnik seansów nienawiści nie potrafił się oprzeć zbiorowemu szaleństwu, ale to nieludzkie „Wu-Be! Wu-Be!” nieodmiennie przepełniało go grozą. Oczywiście robił to, co wszyscy, bo nie sposób było inaczej — skandował wraz z innymi. Ukrywanie emocji, panowanie nad mimiką i podążanie za tłumem — to było instynktowne. Jednak przez krótką chwilę, może kilka sekund, mógł go zdradzić wyraz oczu. I właśnie w takiej chwili wydarzyło się coś istotnego (o ile, rzecz jasna, naprawdę się wydarzyło).

W pewnym momencie Winston pochwycił wzrok O'Briena wstającego z miejsca i zakładającego okulary swym charakterystycznym gestem. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Winston nie miał najmniejszych wątpliwości: O'Brien myśli tak samo jak on. Ich umysły, zjednoczone nagłym porozumieniem, otworzyły się na myśli przekazywane za pomocą oczu. „Jestem z tobą”, zdawał się mówić O'Brien. „Wiem, co czujesz, rozumiem twoją pogardę, nienawiść i obrzydzenie. Jestem po twojej stronie”. W tej samej sekundzie transfer ich myśli się zerwał i twarz O'Briena przybrała taki sam nieprzenikniony wyraz jak wcześniej.

I tyle. Nic więcej. Winston nie był już nawet pewien, czy naprawdę to przeżył. Zdarzenia tego typu nigdy nie miały dalszego ciągu, pozwalały mu jedynie podtrzymać wiarę, a raczej nadzieję, że nie jest jedynym wrogiem Partii. Być może w plotkach o spiskach knutych w podziemiu tkwiło ziarno prawdy, może Braterstwo naprawdę istniało! Bo mimo codziennych aresztowań nie dało się wykluczyć, że Braterstwo to jedna wielka mistyfikacja. Były dni, kiedy w nie wierzył, ale równie często brakowało mu tej wiary. Nie miał żadnych dowodów jego istnienia, kierował się drobiazgami, które mogły mieć znaczenie, ale nie musiały: urywki rozmów, niewyraźne bazgroły na ścianach toalet, wymiana spojrzeń między dwiema nieznanymi osobami, gest ręki mogący uchodzić za powitanie. A może te wszystkie spekulacje i domniemania opierały się przesłankach będących dziełem jego wyobraźni.

Wrócił do swojego boksu, nie patrząc już w stronę O'Briena. Nawet nie przeszło mu przez myśl, by jakoś nawiązać do tej sekundy, w której coś między nimi zaiskrzyło. Byłoby to niewyobrażalnie niebezpieczne, nawet gdyby wiedział, jak się do tego zabrać. Wymienili dwuznaczne spojrzenia, wszystko trwało sekundę, może dwie, i na tym koniec. Ale w samotnym, naznaczonym wymuszoną izolacją życiu Winstona nawet taka drobnostka stanowiła wydarzenie warte zapamiętania.

Ożywił się i wyprostował na krześle. Odbiło mu się ginem. Znów skupił wzrok na kartce. Odkrył, że w czasie gdy siedział nad nią bezradnie, pisał, jak gdyby jego ręką sterował automat. Nie była to już ta sama niezdarna pisanina co poprzednio. Pióro pieściło zmysłowo gładką stronicę, kreśląc z rozmachem dużymi drukowanymi literami:

PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM

Linijka za linijką, aż szeregi zgrabnych liter wypełniły połowę strony. Winston poczuł panikę. Absurdalnie niedorzeczną, gdyż napisanie tych słów nie było bardziej niebezpieczne niż sam pomysł prowadzenia pamiętnika, a jednak przez chwilę miał ochotę wyrzucić zapisane kartki i dać sobie z tym wszystkim spokój.

Powstrzymał się, bo wiedział, że to na nic. Nie miało znaczenia, czy napisał PRECZ Z WIELKIM BRATEM czy nie. To, czy będzie dalej prowadził pamiętnik czy przestanie, też nie robiło różnicy. I tak dorwie go Policja Myśli. Popęłił jednak przestępstwo zasadnicze, obejmujące wszystkie możliwe rodzaje zbrodni — popełniłby je, nawet gdyby nie dotknął piórem papieru. Nazywano je myślozbrodnią. Nie dało się jej długo ukrywać, nielicznym udawało się to latami, ale zawsze prędzej czy później winny zostawał zdemaskowany.

Aresztowania przeprowadzano nocą. Nagłe wyrwanie ze snu, czyjaś twarda dłoń szarpiąca za ramię, oślepiające światło, krąg wrogich twarzy wokół łóżka... Najczęściej nie było żadnych procesów czy informacji w mediach — ludzie po prostu znikali, zawsze pod osłoną nocy. Ich nazwiska usuwano ze spisów, ślady działalności kasowano i wymazywano. Negowano sam fakt ich istnienia, jakby nigdy się nie narodzili. Potocznie mówiło się, że zostali wyparowani.

Winstona ogarnęła histeria. Pośpiesznie nagryzmołił:

*zastrzelą mnie i co z tego strzelą w tył głowy mam
to gdzieś precz z wielkim bratem zawsze strzelają
w kark no i co precz z wielkim bratem*

Lekko zawstydzony, opadł na oparcie krzesła i odłożył pióro. W następnej sekundzie zerwał się gwałtownie. Ktoś pukał do drzwi.

A więc to już. Siedział jak mysz pod miotłą w nadziei, że ktokolwiek stoi za drzwiami, pójdzie sobie, nie usłyszawszy odzewu. Po chwili pukanie rozległo się ponownie. Najgorsze, co można było zrobić, to zwlekać z decyzją. Choć serce waliło mu jak młotem, odruchowo przybrał całkowicie obojętny (przynajmniej tak mu się wydawało) wyraz twarzy. Wstał i ciężkim krokiem ruszył w stronę drzwi.

II

Chwytając za klamkę, zauważył, że zostawił na stoliku notatnik. Zapisane od góry do dołu strony krzyczały wielkimi literami, czytelnymi z drugiego końca pokoju: **PRECZ Z WIELKIM BRATEM**. Pozostawienie otwartego pamiętnika było nieprawdopodobną głupotą, ale — z czego zdał sobie sprawę — popełnił ją, bo nawet ogarnięty paniką nie chciał rozmazać atramentu na pięknym kremowym papierze.

Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi. Ogarnęła go fala ulgi. Na zewnątrz stała bezbarwna, niepozorna kobieta o rzadkich włosach i poznaczonych zmarszczkami twarzy.

— Och, towarzyszu — zaczęła smutnym, proszącym głosem — tak mi się właśnie zdawało, że słyszałam, jak wchodzicie. Pomyślałam, że może dalibyście radę zajrzeć do nas i rzucić okiem na nasz zlew. Zatkanął się, no i...

Była to żona sąsiada z piętra, pani Parsons. (Zgodnie z oczekiwaniami Partii należało zwracać się do siebie „towarzyszu” lub „towarzyszko”, jednak w stosunku do niektórych kobiet niemal instynktownie używało się zwrotu „pani”). Miała około trzydziestu lat, lecz wyglądała o wiele starzej. Patrząc na nią, odnosiło się wrażenie, że w jej zmarszczkach gromadzi się kurz. Winston ruszył za nią korytarzem.

Drobne awarie były codziennym utrapieniem mieszkańców. Bloki Zwycięstwa miały już swoje lata, wzniesiono je bowiem w trzeciej dekadzie XX wieku i wszystko w nich już się sypało. Z sufitów i ścian odpadał tynk, podczas mrozów pękały rury, dach przeciekał po każdym opadzie śniegu, a ogrzewanie, o ile w ogóle było uruchomione (w ramach oszczędności często je wyłączano), działało na pół gwizdka. Naprawy, jeśli nie udało się ich wykonać samodzielnie, musiały być zatwierdzane przez przeróżne komitety, toteż najprostsze prace, jak choćby wymiana szyby w oknie, ciągnęły się nawet dwa lata.

— Naturalnie ja tak tylko dlatego, że Toma nie ma w domu — tłumaczyła się pani Parsons.

Mieszkanie sąsiadów było większe niż Winstona, również obskurne, chociaż w inny sposób. Wyglądało tak, jakby grasowało w nim dzikie zwierzę sporych rozmiarów — wszystko było w nim zdewastowane i stratowane. Na podłodze wały się kije do hokeja, rękawice bokserskie, dziurawa piłka do futbolu, wyrócone na lewą stronę przepocone szorty. Na stole stały brudne naczynia, między którymi leżały poznaczone oślimi uszami zeszyty. Na ścianie oprócz szkarłatnych proporców Ligi Młodzieży i Tropicieli wisiał pełnowymiarowy plakat z Wielkim Bratem. Wszędzie unosił się charakterystyczny dla całego budynku zapach gotowanej kapusty, doprawiony ostrym odorem potu — w jakiś niewytłumaczalny sposób wiadomo było od razu, że człowiek, który go po sobie pozostawił, jest nieobecny. W drugim pokoju ktoś wtórował na grzebieniu wojskowej melodii dobiegającej z teleekranu.

— To dzieci... — wyjaśniła pani Parsons, rzucając lękliwe spojrzenie w stronę drzwi. — Cały dzień siedzą w domu. No i oczywiście...

Miała zwyczaj niekończenia zdań. Kuchenny zlew wypełniała po brzegi brudna, zielonkawa i cuchnąca kapustą woda. Winston przykłęknął, by obejrzeć rury. Nie znosił tego typu prac, a jeszcze bardziej nie znosił się schylać, bo zawsze wywoływało to u niego atak kaszlu. Pani Parsons przypatrywała się bezradnie.

— Rzecz jasna, gdyby Tom był w domu, zajęłby się tym w try miga — powiedziała. — Wprost uwielbia takie zajęcia i świetnie sobie z nimi radzi. Mój Tom to prawdziwa złota rączka.

Parsons pracował z Winstonem w Ministerstwie Prawdy. Był tłustawym, energicznym mężczyzną o porażającej głupocie, przepełnionym idiotycznym entuzjazmem do wszystkiego, jednym z niekwestionujących niczego, szczerze oddanych sprawie wołów roboczych, na których, w stopniu większym nawet niż na Policji Myśli, opierała się stabilność Partii. Miał trzydzieści pięć lat, kiedy wyrzucono go z Ligi Młodzieży; zanim się tam dostał, był członkiem Tropicielei o rok dłużej, niż pozwalał na to statut organizacji. W Ministerstwie zatrudniono go na podrzędnym, niewymagającym inteligencji stanowisku, za to pełnił ważne funkcje w Komitecie Sportu oraz wszystkich możliwych strukturach zajmujących się organizacją wycieczek pracowniczych, spontanicznych demonstracji, akcji oszczędzania i innych ochotniczych działań. W ostatnich czterech latach nie opuścił ani jednego wieczornego zebrania w klubie osiedlowym, o czym — pykając od niechcenia fajkę — informował wszystkich ze słabo maskowaną dumą. Wszędzie ciągnął się za nim przenikliwy odór potu — nieuświadomione świadectwo znoju jego życia — utrzymujący się w powietrzu jeszcze długo po jego wyjściu.

— Ma pani klucz francuski? — spytał Winston, próbując poluzować nakrętkę kolanka.

— Klucz francuski — powtórzyła bezradnie pani Parsons. — No nie wiem, sama nie wiem. Może dzieci...

W tym momencie do kuchni wparowały z hałasem pociechy Parsonsów. Pani Parsons przyniosła w końcu narzędzie i Winston spuścił stojącą wodę. Z obrzydzeniem usunął kłęb włosów zatykający odpływ. Umył ręce najdokładniej jak się dało w zimnej wodzie i przeszedł do drugiego pomieszczenia.

— Ręce do góry! — Przywitał go groźny okrzyk.

Zza stołu wyskoczył ładny, dobrze zbudowany dziewięciolatek, grożąc mu zabawkowym pistoletem. Jego dwa lata młodsza siostra wykonywała identyczny gest, posługując się kawałkiem drewna. Oboje mieli na sobie błękitne szorty, szare koszule i czerwone chusty — standardowe umundurowanie Tropicieli. Winston uniósł obie dłonie nad głowę z dziwnym niepokojem. W groźbie chłopca słychać było agresję wykraczającą poza ramy zabawy.

— Jesteś zdrajcą! — wrzasnął malec. — Myślozbrodniarzem! Eurazjatyckim szpiegiem! Zastrzelę cię, wyparuję, ześlę do kopalni soli!

Dzieciaki podskakiwały wokół Winstona, wykrzykując: „zdrajca!” i „myślozbrodniarz!”. Dziewczynka naśladowała każdy ruch brata. Było w tym coś przerażającego, jak w igraszkach tygrysków, które wyrosną na tygrysy ludojady. Z oczu chłopca biło zimne okrucieństwo i przemożna ochota wymierzenia ciosu lub kopniaka; był już na tyle duży, że mógłby to zrobić, i miał tego świadomość. Dobrze, że to nie prawdziwy pistolet, pomyślał Winston.

Oczy pani Parsons przemykały nerwowo pomiędzy Winstonem i dziećmi. W lepszym świetle pokoju Winston stwierdził ze zdumieniem, że w zmarszczkach gospodyni rzeczywiście gromadził się kurz.

— No tak, tak, czasem trochę rozrabiają — odezwała się w końcu. — Są zawiedzione, bo nie pójdą oglądać egzekucji. Ja jestem zbyt zajęta, a Tom wróci późno z pracy.

— Dlaczego nie pójdziemy na wieszanie? — wrzasnął chłopiec.

— Chcemy zobaczyć wieszanie! Chcemy zobaczyć wieszanie! — skandowała dziewczynka, wciąż podskakując.

Winston przypomniał sobie, że wieczorem w parku odbędzie się publiczne wieszanie eurazjatyckich jeńców winnych zbrodni wojennych. Egzekucje, przeprowadzane średnio raz w miesiącu, cieszyły się ogromną popularnością. Zwłaszcza dzieci zawsze głośno domagały się tej rozrywki.

Pożegnał się z panią Parsons i ruszył do drzwi. Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy poczuł mocne uderzenie w kark, a jednocześnie przeżywający ból, jakby ktoś wbił mu w szyję rozżarzony do czerwoności drut. Obrócił się i zobaczył panią Parsons wciągającą syna do mieszkania. Chłopiec chował do kieszeni procę.

— Goldstein! — zawył, zanim zniknął za drzwiami.

Na poszarzałej twarzy kobiety malowało się bezradne przerażenie. Winston poczuł dreszcz.

Wróciwszy do mieszkania, minął pospiesznie teleekran i zasiadł przy stoliku, ciągle masując kark. Wojskowy głos z ekranu odczytywał z dumą wykaz uzbrojenia nowej pływającej fortecy, zakotwiczonej właśnie pomiędzy Islandią a Wyspami Owczymi.

Pomyślał o nieszczęsnej sąsiadce. Z takimi dziećmi musi żyć w nieustającym strachu. Jeszcze rok, dwa i ich oczy będą ją śledzić w dzień i w nocy, wypatrując najmniejszych objawów nieprawomyślności. Prawie wszystkie dzieci były teraz nie do zniesienia. Najgorsze było to, że organizacje takie jak Tropiciele przekształcały je w małych barbarzyńców, dzikich, a jednak poddających się całkowicie dyscyplinie Partii. Dzieci wręcz ubóstwiały Partię i wszystko, co się z nią wiązało. Pieśni, pochody, transparenty, piesze rajdy, ćwiczenia z atrapami karabinów, wykrzykiwane slogany, kult Wielkiego Brata — to była najlepsza zabawa pod słońcem. Ich dzikość i agresję kierowano umiejętnie przeciwko wrogom państwa, obcokrajowcom, zdrajcom, sabotażystom, myślozbrodniarzom. Ludzie około trzydziestki zaczynali się bać swoich dzieci. I mieli ku temu powody — w „Timesie” niemal co tydzień można było przeczytać o jakimś małym donosicielu, nazywanym „młodocianym bohaterem”, który usłyszawszy nieprawomyślną uwagę rzuconą przez rodziców, zadenuncjował ich Policji Myśli.

Pieczenie wywołane postrzałem z procy ustąpiło. Winston bez przekonania sięgnął po pióro, zastanawiając się, czy jest jeszcze coś, o czym mógłby napisać. Nagle w jego myślach znów pojawił się O'Brien.

Przed laty — kiedy to mogło być, pewnie jakieś siedem lat temu? — śniło mu się, że idzie przez pogrążony w mroku pokój, gdy nagle spod ściany dobiegły go słowa: „Spotkamy się w miejscu, w którym nie ma ciemności”. Spokojny cichy głos niczego nie nakazywał — po prostu stwierdzał fakt. Winston nie zatrzymał się nawet. To, co usłyszał, nie poruszyło go wcale. Dopiero później zaczęło stopniowo nabierać znaczenia. Nie potrafił jednak przypomniać sobie, czy kiedy przyśnił mu się ten sen, znał już O’Brien, czy poznał go dopiero potem. Nie pamiętał też, kiedy się zorientował, do kogo należy ten głos. Był absolutnie pewien: to O’Brien przemówił do niego z ciemności.

Winston nie potrafił rozstrzygnąć, nawet po wymianie spojrzeń tego ranka, czy ma w O’Brienie przyjaciela czy wroga. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Nić porozumienia, która ich połączyła, była ważniejsza od osobistych sympatii i tego, po której stronie się opowiadał. Powiedział wszakże: „Spotkamy się w miejscu, gdzie nie ma ciemności”. Winston nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale czuł, że te słowa kiedyś się spełnią.

Głos z teleekranu umilkł na chwilę. W martwe powietrze wdarł się czysty dźwięk sygnału zagranego na trąbce, a potem rozległ się skrzeczący głos: „Uwaga, uwaga! Przed chwilą nadeszła wiadomość z frontu na Wybrzeżu Malabarskim. Nasze siły w południowych Indiach odniosły chwalebne zwycięstwo. Zostałem upoważniony do poinformowania, że wydarzenie, o którym mowa, z dużą dozą prawdopodobieństwa znacząco przybliży koniec wojny. Oto pełna treść komunikatu...”.

Będą złe wieści, pomyślał Winston. I rzeczywiście, zaraz po obfitującym w krwawe detale opisie starcia eurazjatyckiej armii w pył, popartym zdumiewająco wysokimi liczbami zabitych i wziętych do niewoli, poinformowano o obcięciu przydziałowych racji czekolady z trzydziestu na dwadzieścia gramów tygodniowo.

Znowu mu się odbiło. Działanie ginu powoli ustępowało, pozostawiając poczucie wyczerpania. Z teleekranu ryknęły dźwięki *Oceanio, to dla ciebie*, nie wiadomo, czy dla uczczenia zwycięstwa, czy na osłode po utracie czekolady. Podczas emisji hymnu Winston powinien był stanąć na baczność, ale — ukryty w swojej niszy — był całkowicie niewidoczny.

Po hymnie z ekranu popłynęła lekka muzyka. Winston, wciąż zwrócony plecami do teleekranu, podszedł do okna. Było słonecznie, ale zimno. Gdzieś w oddali z głuchym hukiem eksplodowała rakietka. W tym okresie na Londyn spadało od dwudziestu do trzydziestu pocisków rakietowych tygodniowo.

W dole na ulicy naderwany plakat miotał się na wietrze, to odsłaniając, to zasłaniając słowo ANGSO. Święte zasady angosoci. Nowomowa, dwójmyślenie, zmienność przeszłości. Miał wrażenie, że przedziera się przez zarośla na dnie morza, zagubiony w monstrualnym świecie, w którym on też był potworem. Był sam. Przeszłość odeszła w niebyt, przyszłości nie sposób było sobie wyobrazić. Jaką miał pewność, że pośród wszystkich żyjących ludzi ma po swojej stronie choć jedną bratnią duszę? I skąd miał wiedzieć, że władza Partii nie będzie trwała wiecznie? Zamiast odpowiedzi w pamięci rozbłysły trzy hasła z białej fasady Ministerstwa Prawdy:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
NIEWIEDZA TO SIŁA

Wyjął z kieszeni dwudziestopięciocentówkę. Na monecie widniały te same, wybite małymi, wyraźnymi literami, hasła, z awersu zaś spoglądał Wielki Brat. Jego oczy śledziły go nawet stąd. Były wszędzie — na bilonie, znaczkach, okładkach książek, transparentach, paczkach papierosów. Zawsze i wszędzie człowieka osaczał czyjś wzrok czy głos. We śnie czy na jawie, w pracy czy podczas posiłku, w domu czy na